

ROMANS I POWIEŚĆ

Rok XII.

Warszawa, dnia 24 kwietnia 1920 roku.

Nr 17.

Pochwała kobiety.

(„Hrabia Emil” romans współczesny Zofji R. Nałkowskiej).

Oskar Ewald, znakomity znawca Nietzscha w książce swej „Przepaści i otchłanie”, analizując zasadnicze cechy umysłowości kobiecej, uważa stan ciągłej zależności duchowej za element centralny jej psychiki. Zależność, to znaczy, ustawianie się do życia i jego zagadnień nie w sposób bezpośredni, reagowanie na jego zjawiska jedynie i wyłącznie poprzez przeżycia i przemyślenia drugih, poprzez koncepcję cudzą, zewnętrzną i narzuconą. Zależność psychiczna jest rozłożeniem aktywności ludzkiej na pierwiastki negatywne i nigdy nie może się stać źródłem takiego czynu, któremu na imię: twórczość życia.

Wydaje mi się, że zasadniczym rysem duchowym bohatera ostatniej powieści p. Nałkowskiej, jest właściwie pasorczytowanie na wszystkim i wszystkich, co współczesne życie Polski ze sobą przynosi.

Nie ulega wątpliwości, że p. Nałkowska należy do tych organizacji pisarskich, które wnoszą do powieści swój specyficzny styl, ton i linję. Oczywiście że w zamierzeniach pisarki są jednostronności, jest zamykanie oczu na całą wielką płaszczyznę — względnie dynamiczną linję życia, — ale to co p. Nałkowska daje na płaszczyźnie sentymentu, refleksyjnej czystej liryki, głębokich zamyśleń erotycznych, przedewszystkiem cudnej, nigdy nieodgadnionej tajemnicy duszy kobiecej, należy do zjawisk w literaturze powieściowej wyjątkowych:

W Hrabiu Emilu najmniej interesującą jest postać pierwszoplanowa. W koncepcji charakteru bohatera tej powieści powiązane są z wdziękiem i prostotą echa, odgłosy i reakcje najbardziej osobistych przeżyć autorki, względnie lektury (Romin Rolland a może Rousseau),

które w rezultacie dają rysunek człowieka raczej intelektualny, raczej skomponowany, raczej zobaczony z zewnątrz i zaobserwowany nie tyle realistycznie ile poprzez pewne ideowe asocjacje. Ale Hrabia Emil nie wzbudza zainteresowania swoją psychiką, chociaż przeżywa burzliwe i sielankowe przełomy. Nie wzbudza tego zainteresowania dlatego, bo życie nasze, Polska, ta z przed wojny, i z czasu wojny, przychodzi do niego niemal, jak do cudzoziemca i tłumaczy mu językiem wszystkich przyjaciół, przyjaciółek, wypadków dziejowych lub przygód z buduaru, to, co jest treścią, istotą, racją dnia i chwili. Emil jest konsekwentny; podobnie jak nigdy nie zdobywał kobiety po męsku, a raczej kazał sobie zdobywać, podobnie jak nigdy nie protestował w rozmowach, w dyskusjach a raczej reagował w rozmyślaniach i kontemplacji, — w taki sam sposób chociaż dla siebie groźniejszy oddziaływał na żywioł życia. Niema w nim nic twórczości, element zależności, ustawianie się i odbijanie, w tysiącach zwierciadeł przeważa i charakteryzuje.

P. Nałkowska w swej artystycznej koncepcji jest nieubłagana. Chociaż z widocznym sentymentem odnosi się do jedynego „mężczyzny” w tej powieści, nie wyposaża go właściwie w żaden rys męski. Jest on jakgdyby dziwną Androgyne, jakimś człowiekiem na rubieży, który nie pokonawszy jeszcze niewoli duchowej i fizycznej, tęskni za odrodzeniem, nawet walczy o nie, ale w walce tej nie ginie na polu bitwy, lecz w cichym dworku u siebie, w ramionach ukochanej kobiety.

Życie hrabiego Emila jest życiem wegetatywnym. Oplata się

ono około każdej napotkanej kobiety, każdego przyjaciela, o każdą ideę, której nie przetrawi, ale która go porwie i zachwyci swoim ogromem. Cierpienia jego i bóle, radości i upojenia są ani nie zawinione, ani nie zasłużone. Może najciekawszym i najsilniejszym, jako indywidualność, był w czasie swego dzieciństwa, kiedy walczył o miłość Joanny, którą porwał czy uwiódł prosty, dziki pastuch.

Ten młody hrabia jest jednak i był napewno, typowym momentem naszego życia. Bezdogmatyzm, rozterka duchowa i mocowanie się idei życia z ideą śmierci — te elementy duchowe nie były zjawiskiem odosobnionem i nie są wymysłem artystki. Nałkowska koncentrując linję ideową swej powieści na tej postaci a tem samem w środowisku polskiego ziemiaństwa arystokratycznego, nie miała napewno na celu podkreślenia tych walorów, które przyświecają pisarskiej twórczości Weyssenhofa. Nałkowskiej chodzi głównie o obiektywizację środowiska, w którym znajdował się hrabia Emil.

Nie godzę się z typem artystycznego konstruowania powieści. Nie umiałbym pominąć milczeniem ważnych niedomówień w kształtowaniu życia pozapsychicznego. P. Nałkowska nie przetwarza na swoistą metaforę codzienności życia nie chwytając jego wyrazu, nie zajmuje jej konstrukcja formy. Obraca się jeszcze w sferze zwykłych asocjacji ideowych, nierzadko zbanalizowanych, niedość przetrwanych artystycznie wrażeń zmysłowych. Ale niezawodnie czyni to z wielkim wdziękiem, prostotą i szczerością liryczną.

Natomiast głęboko i przedziwnie subtelnie poodmierzane są zamyślenia i jakby jasnowidzenia tych ludzi, którzy żyjąc na marginesie wielkiej wojny, wchłaniają w siebie wszystką jej wielkość, całą potęgę i całą groźbę śmierci.

Nałkowska posługuje się tu niesłychanie trudnym ale i niezawo-

dnym — jeżeli właściwie wyzyskany — elementem lajtmotywu psychicznego.

Lajtmotyw ten, jak tło muzyczne rozstrzuwa się poprzez całe życie Emila a chociaż niewiele blasku przydaje samej postaci, rozświetla bengalskim i czarującym ogniem wszystkie niemal kobiece typy tej powieści.

Bo Nałkowska jest przede wszystkim wielką poetką duszy kobiecej. W tym świecie, — który jest jej światem, — czyni odkrycia i wynalazki, znajduje świętości, grzesznice i pół-dziewice.

Udaje się jej najlepiej tam, gdzie bez nadmiernej opisowości psychicznej (motywu tego używa zbyt często), kilkoma linjami, jakimś zdarzeniem, przelotnym uśmiechem szczęścia, krótką a wyrazistą refleksją podkreśla lub stawia rysunek postaci. Do najlepiej zobaczonych kobiet a zarazem najprawdziwszych i najobiektywniej ujętych należy matka hrabiego Emila, Worostańska. Ta kobieta, która pomimo ciężkich przeżyć, „nie może długo żyć bez miłości“, nie przestała ani na chwilę być czystą, pogodną, pełną uroku matroną polską. Napewno Nałkowska, bez ukrytej myśli, tak właśnie a nie inaczej, narysowała rysunek kobiety, dobrej żony i wiernej kochanki.

I Djana, piękna Angielka (przypominająca z rysunku i miękkiej wytworności kochankę Jana-Krzysztofa, Grację) i wyuzdana, perwersyjna Marja Ephraim należą do umiłowanego przez Nałkowską typu kobiet wolnych, dla których miłość tylko, może być problematem... Fizyczne zagadnienie nie istnieje.

Mniej wyrazistymi są swojskie typy kobiece. Tylko Aniela, żona księcia jest upadającym, ale nigdy nie upadłym aniołem. Los jej zasnuca chwilami, tymbardziej, że Hrabia Emil nie był wart ani jednej jej dobrej myśli.

Ta przeróżna galeria typów, które z nierówną plastyką, ale zawsze z umiarem artystycznym, przesuwają się przez życie powieści rzucona, jest na tło wojny europejskiej i polskiej. Tym konfliktom poświęcona są bodaj najciekawsze ustępy książki. Niestety wyłamuje się one już z ram powieściowych są, jakby dygresją filozoficzno-społeczną autorki. Hrabia Emil w tym konflikcie, albo monologizuje (oczywiście psychicznie), albo słucha tego co inni mówią. A niektórzy mówią rzeczy ciekawe. Należy do nich Ruten, może najbardziej skoncentrowany typ — chociaż fragmentary-

czny — tej powieści. Ten socjalista idący na wojnę o Polskę jest pomimo silnej konkretności indywidualnej, doskonale ujętym i podpartym skrótem pewnej kategorii naszych bohaterów działaczy. Ten Żelawa, którego napewno takim, jakim go daje Nałkowska, można było tylko zobaczyć w Krakowie, w epoce formowania się Strzelców.

A jednak! Tego co jest wojną, co wojna rzeczywiście daje i przynosi, jak przeorywa duszę ludzką i do jakich czynów rozpala, tego przekroju psychiki współczesnej Nałkowska w powieści swej nie stworzyła. Dała próbę dyalektyki wojennej, argumentację pro i contra, wszystko to, co od czasów Grocjusza, aż do Proudhona i Berty Suttner o wojnie powiedziano. Powieści nie zawsze to wystarcza. Dyalektyka przekonywa najbardziej w ustach

ludzi, którzy są jej żywym przykładem. Inaczej z powieści robi się czasami dialog estetyczno naukowy o wysokiej piękności intelektualnej.

Tych niebezpieczeństw Nałkowska nie ominęła a może ich uniknąć nie chciała. Zamało w Emilu skrótów refleksyjnych, zawiele opisowości, psychologii i przypadkowych rozważań.

Nad wszystkim jednak unosi się spokojna, chociaż pełna zmysłowego liryzmu kompozycyjna umiejętność pisarki, dla której postać bohatera była tylko pretekstem anegdotycznym i artystycznym, aby rozwinąć przepyszną galerię kilku kapitalnych typów kobiecych.

Ostatnia książka Nałkowskiej jest wielką pochwałą kobiety.

Emil Breiter.



WACŁAW SIEROSZEWSKI.

POWIEŚĆ.

TOPIEL.

35

Już odchodziła, już nikła, opuszczając cicho klapę za sobą, a on legł znowu w ciemnościach na twardą swą pościel...

— Panie Józefie, jak pan będzie uciekał, to pan mówił, że potrzebne będą jakieś dokumenty?.. Jakie to mają być dokumenty? Własne panna, czy jakie inne?.. Czy trudno je dostać? — pytała tego jeszcze dnia Gawara, przydybawszy go na uboczu.

— W tem sęk, że trzeba cudze, albo podrabiane... Moje zgubiłyby mię odrazu... Wszak jestem pod podwójnym nadzorem: dawnym i teraz z powodu tej sprawy — Tere-szczenki...

— Więc jak?..

— Jest tu w mieście podobno taki majster, co dostarcza jakie kto chce papiery... ale za grube pieniądze... Zresztą bałbym się, bo trafić do niego można przez... kata, więc łatwo się wsypać... Pani rozumie!..

— Rozumiem!.. — odrzekła cicho. — Więc jak?

— Postanowiłem sam się nauczyć pieczęcie wyrzynać. To nic wielkiego, trzeba tylko wprawy... To się robi na starym trojaku, albo na kawałku deski szyfrowej... Widziałem w więzieniu, jak robili kryminaliści...

— Ale to pewnie długo?..

— Tak, trzeba się uczyć z parę tygodni... Mamy czas!..

— Nie wiadomo. Jeżeli pobór naznaczą...

— Dopóki Bełzy nie wzięli, nic nie nagli; można czekać!..

— Możeby jednak lepiej zawczasu... Możeby lepiej Tadzik to zrobił, poszukał w mieście tego człowieka... Jeżeli trzeba wam pieniędzy, to wam dam, żebyście nie żalowali, że zapóźno... — nastawała mocno.

— Chyba przez Bełzę, bo on miał z tym katem stosunki... Trudno go złapać!.. Rzadko chodzi z więzienia do miasta!..

— Niech pan się postara, zo pana proszę!.. Niech pan dostanie odrazu dla siebie i dla Tadzika, tylko niech go pan zrobi wyższym i brunetem... Będziecie musieli włosy umalować!.. Bardzo mię obchodzi ta nowa wyprawa!.. — dowodziła gorąco.

— Należałoby może, nawet dla trzech, gdyby były pieniądze, ryzyko to samo, a w ostatniej chwili może i Bełza...

— Właśnie. Najlepiej dla trzech... Ma pan tu dwadzieścia pięć rubli... To z moich oszczędności!.. — mówiła rumieniąc się i wyciągając pieniądze z za stanika.

— Nie trzeba, potem... Nic jeszcze niewiadomo!.. — bronił się chłopak, gdy mu do rąk wsuwała papierki...

— Niech pan weźmie, już będę pewniejsza.

Gawar zaraz się podzielił nowiną z Tadzikiem. Uradzili, żeby się do kata nie zwracać, że Tadzik spróbuje to załatwić przez znajomego kozaka.

— Tylko trzeba poczekać, bo teraz w mieście bardzo szpiegują z powodu tego Tereszczenki... Już go mieli na oku i znikł im nagle... Chwat, nie ma co mówić, szkoda, że zbój!..—przekładał siostrze.

— Ee, może już nie taki?.. — broniła słabo.

— Chwaliłaś go dawniej. Zawsze powiem, że dzielny, ale zbój!.. Rozbijał po drogach... Może nie!..

— Ciemną jest dusza ludzka!.. — westchnęła, drgnawszy.—Może musiał!..—Nie sądz bracie, aby nie być sądzonym...

— Ty zawsze ostrzej sądzisz odemnie... Komu to tu!..

— Już nigdy nie będę!.. Obiecuj!..

— Ja się też postaram o te papiery, ale w odpowiedniej chwili!..

— Nie zwłócz, braciszku!..

W nocy karmiąc swego jeńca, napomknęła mu o nadziei zdobycia dokumentów.

— Oho, wtedy nie czekałbym chwili!.. Tutaj gorąco!

— Nie bardzo!.. — rozśmiała się tuląc ręce w rękawy kaftana.

— Ee!.. Żle nie jest!.. Ten komin wcale dobrze grzeje... Nie żałujecie opału... Niech pani dotknij ręką!.. — Ujął jej rękę i delikatnie pociągnął ku sobie w stronę ciemniejszego poza nim ceglatego kadłuba dymnika.

Szarpnęła się i wstając obaliła nie chcący dzban wody. Podchwycił go zręcznie; dziewczyna tymczasem z latarnią w ręku, pochylona nad otworem wejścia nasłuchiwała pilnie w głąb domu. W pewnej chwili znikła jak widzenie, zatrzymując czarne wieko nad swą złotą głową i jasnością latarni.

Zbieg stał wyprostowany i też słuchał. W kuchni szemrały kroki i głosy.

— Co takiego?.. Nie śpisz?

— Wydało się mi, mamusiu, że ktoś chodzi po górze.

— I mnie też...

— Ale nikt. To wiatr stukał starem sitem na kołku... Zatknęłam dymniki, żeby śniegu nie nawiało...

— Dobrze, dziecko moje! Trzeba będzie jutro zrobić tam porządek!.. Dlaczego tak się lekko ubrałaś? Drzysz, widzę, cała... Połóż się zaraz, ja cię przykryję szubą, żebyś się rozgrzała... A może ugotować ci herbaty!..

— Nie, nie, mamusiu, nic nie potrzebuję. Spać mi się chce!..

Ułożyła ją na pościeli, jak małą dziewczynkę, giezło jej owinęła starannie koło kolan i zziębniętych nóg, przykryła ją szalem, męzowskim pledem, szubą i ucałowałszy, pobłogosławiwszy czoło jej po trzykroć, odeszła do siebie.

Dziewczyna dopiero przed samym świtem wkradła się raz jeszcze na strych już bez latarni, aby zanieść wody i zabrać porzucone naczynia. Tereszczenko wyjrzał z ciemności, skoro tylko odchyliła kłapę, zabrał dzbanek i podał jej zostawione przedmioty.

— A dziś pani przyjdzie?

— Przyjdę!..

— To niech pani przyniesie nożyczki i brzytwę...

— O brzytwę będzie trudniej... zamknięta u ojca... Spróbuję...

Nie od razu opuścił kłapę, śledząc za nią jak w lekkiej sukienka z złotymi włosami, które się rozsywały po plecach schodziła widmowo po schodach w błękitno-siwym słupie światła bijącego z okna.

— Mam i nożyczki i brzytwę. Tę nawet panu zostawie, przyniosłam też lusterko, pędzel i mydło... Tatuś w niedzielę się tylko goli, ale zawsze niech się pan spieszy...

— Jutro zwrócę. Gorzej będzie z włosami, bo te chyba... pani sama... będzie mi musiała obstrzyć!..

Wahała się chwilę.

— Właśnie myślałam o tem... Istotnie, będę chyba musiała!.. Niech pan siada tu na pudełku i niech

pan ręcznik sobie zarzuci... Tymczasem przeniosę bliżej latarnię...

Usiadł, okrył się ręcznikiem i czekał ze zwieszoną głową, gdy dziewczyna pierzchliwymi palcami rozplątywała mu i rozczesywała długie gęste kędziory. Poddał się cały rozkoszy tych pieszczotliwych dotknięć, tego ciepła dziewiczego ciała pochylonego ku niemu, oddechu wzbudzającemu w nim dreszcz.

— Jeżeli pana zatnę, niech pan nie krzycz!.. — śmiała się zlekka łamiącym się głosem.

Podniósł na nią oczy i nagle przylgnął twarzą do jej piersi wzbudzonych.

— Co pan robi?.. Zakraję pana!

Już ją ogarnął ramieniem i ciągnął ku sobie, drugą ręką chwytając za nożyczki. Wyrwała się, przęając i odpychając wpartą mu w czoło dłoń. Potoczyli się z pudła na ziemię.

— Cicho, cicho, usłysz!.. — szeptała.—Puść, puść!

Podgarniał ją coraz władniej pod siebie i szukał ustami ust...

— Uciekniemy razem... Panią będziesz i królową... Obsypię cię skarbami i przepychem... Gdzieś daleko, spokojni i szczęśliwi... Daj usta! Uciekniemy...—powtarzał głuchym głosem.

Odwracała głowę i wciąż rwała się i prężyła, lecz zmógł ją w gorące rozchylone wargi wpił się nagle płomiennym pocałunkiem...

Dalszy ciąg nastąpi.



ZUZANNA RABSKA.

WOJNA I TY.

POD WRAŻENIEM OBRAZU
E. OKUNIA: „WOJNA”. —

*Dokoła wyje wojna
I szczyrzy ostre kły —
Lecz cały świat dziś dla mnie
To ty, to tylko ty...*

*Języki ognia syczą,
Twarz krzywi jęzda zła —
Lecz w naszych sercach spokój,
I cisza senna trwa...*

*W straszliwym spazmie gnie się
Dziś każdy kształt i moc —
Lecz w naszych duszach jasno,
Jak w księżycową noc...*

*Buchają iskry krwawe
Z potworów gniewnych paszcz, —
My idziemy cisi, smętni,
Okryci w jeden płaszcz...*

*Jak stos ofiarny płonie
Dokoła cały świat —
My idziem, w rękę chroniąc
Nasz kwiat, nasz cudny kwiat...*

*Gorące serce lilji
W kielichu białym drży, —
Świat cały dzisiaj dla mnie
To ty, to tylko ty...*

„Pożar“ Stefana Kiedrzyńskiego.

Nazwisko Kiedrzyńskiego uczyniło się głośnie naprzód w teatrze. Z dwóch pierwszych sztuk, jakie wystawił, buchnął mocny temperament sceniczny, śmiałość w ujmowaniu tematu i w rysunku postaci, młodzieńcza siła, cokolwiek brutalna, ale świeża i jędrna. Ujawnił od razu talent kompozycyjny, który jest integralną częścią talentu dramatopisarskiego i którego żadne, nawet najwytrwalsze studjowanie „rzemiosła“ i „techniki“ nie zastąpi.

Ten dar kompozycyjny stanowi charakterystyczną cechę beletrystyki Kiedrzyńskiego, wyróżnia go z pośród innych naszych powieściopisarzy, którzy zazwyczaj do kompozycji innych autorów mniejszą przywiązują wagę. Grzechu tego nie umiał ustrzec się Sienkiewicz i Prus, Żeromski i Reymont. Pokrywali go ogromem swych talentów, głębią uczucia i rozmachem wyobraźni, oryginalnością swoich indywidualności. Jeśli jednak powieść polska, posiadająca w okresie przedwojennym tyle wspaniałych talentów, nie została należycie przez obcych oceniona, jeśli tylko

w drobnej mierze przez przekłady na cudzoziemskie języki weszła do ogólnościowego dorobku literackiego, go niewątpliwie jedną z przyczyn jest zaniedbanie przez naszych autorów struktury kompozycyjnej, brak dbałości o harmonijnie dostosowaną całość.

„Pożar“ Kiedrzyńskiego osnuty jest na wypadkach ostatniej doby. Na tle krwawej wojny i jeszcze krwawszej tragedii polskiej,—braci, zmuszonych walczyć w nieprzyjacielskich szeregach,—rozwija się nieszcześliwa miłość szarego inteligenta—legjonisty do arystokratycznej panny „kresowej“. Z jednej strony ofiarność, altruizm, zdolność do najwyższych poświęceń,—z drugiej—zanik rzetelnego patriotyzmu, egoizm klasowy, sybarytyzm,—uczucia małe i liche, utajone w kształtach czarującego kwiatu cieplarnianego... Pałac p. Turgameckiego—płonie w rękach rozwścieklonej, zbolszewizowanej tłuszczy chłopskiej. Gordon nadludzkim wysiłkiem ratuje Alicję od hańby i śmierci. Nie jest w stanie obudzić w tej lalce wielkich salonów głębszego uczucia,

wardyjski oficer petersburski, o książęcym nazwisku rosyjskim, o dworskich manierach, i kozackich instynktach, mimo przepaści, która winna dzielić Polkę od Moskala,—będzie trzymał pod swym urokiem małą duszyczkę.

W swej ostatniej powieści, jak i w dawniejszych swych utworach, Kiedrzyński pozostaje nazewnątrz świata i ludzi, których przedstawia. Stara się być wobec nich bezstronnym, nie ma dla nich jednak żywszej sympatii. Nawet jego tklivość dla główniejszego bohatera nie wydaje się głębszą. Kreśli swą opowieść z szerokim rozmachem,—przesuwają się obrazy wstrząsające grozą, braknie w nich jeszcze ognia własnego ducha, katuszy własnego bólu. Ale Kiedrzyński umie przykuć uwagę czytelnika, potrafi doskonale rozplanować stopniowanie napięcia akcji,—urywa pewne nici, bez miłosierdzia dla rozbudzonej ciekawości czytelnika,—by je nawiązać za chwilę z równą maestrią. „Pożar“ jest pomyślnym etapem w rozwoju twórczości Kiedrzyńskiego.

S. K.



Łzy godzin.

*Skończyła się komedia tęczyowych omyłek,
Słonecznych zmartwychpowstań, kwiecistych narodzin...
Jak pieśnią niedośpiewaną skarżą się łzy godzin...
W łzach rozplywa się zmagani wieczystych wysiłków...*

*Bo gdzież jest miłość?... Nie wiem,—lecz wiem, gdzie jej
[koniec...]
Wiem, ile łez—w dźwiękowych perłach kantyleny,
Wiem, jak obłądnie mącą krew wspomnień refreny,
Tak boli, gdy z ostatnim listem pójdzie goniec.*

*Miłościł... Czy objawiasz się wtedy na chwilę,
Gdy cię karzą moralnej opinii edyle,
Gdy się w słodki twój nektar jad zazdrości sączy?!*

*Czyś tylko jest widoczną przez wspomnienia pryzmat?...
Czy — wreszcie — może smutną prawdą jest sofizmat,
Że miłość się zaczyna wtedy, gdy się kończy...*

Zmierzch bogów.

*Zmarłe, niegdyś słoneczne czasy któż pamięta?...
Komuż żółtkły pergamin żywym dziś się wyda?...
Dziwnie się poplątały: — wawóz Leonida...
Damokles... Afrodyte... Achileśa pięta...*

*W chaosie niepamięci rozsiane fragmenta
Zrzadka w złotą syntezę wieszczę złączy i—wyda...
W kwieciu mirtów, w cytr brzęku śmieje się Cypryda,
Płacze w gajach Eleuzis noc misterji święta...*

*A potem Rzeczywistość wraca. Perystyle
Ciągną się smutnym rzędem z czoł dumnych odarte...
Bezręka nimfa płacze nad ławeczką z darni...*

*Stosy nieoglądanych ksiąg butwieją w pyle...
Zrzadka dłoń roztargniona przejrzy jedną kartę...
Śmieje się Dyonizos—nad drzwiami winiarni...*

MICHAŁ PAWLIKOWSKI.

PRZEGRANA.

17

— I pan wygląda na takiego jegomościa, który przebywa czasami w chmurach, czasami na księżycu ale nigdy na ziemi, — opowiadała — i pan ma wzrok filozofa, wzrok, który określam staropolskim wyrazem: „dowierny” — uśmiechnęła się — ale ojciec miał oczy dziecka. Ironja losu chciała zaś, że patrzył niemi przez okulary profesorskie, że miał siebie za uczonego, że książkowe terminy nie schodziły mu z ust. Wierzył w te jakieś superfosfaty, węglowodany, azoty, bakterje analizy, w różne duńskie i niemieckie mądrości. Nie wątpił że jego teoria i praca pobije sceptycznych, ostrzegających go sąsiadów i brata. I zadłużał się, robił nakłady, zakopywał pieniądze do ziemi podobno najmniej zyznej w kraju. Spodziewał się olbrzymich zysków z roku na rok. A gdy nie przypływały potokiem złota dochody, i majątek zaczął wymykać się z rąk, powtarzał sobie po cichu i głośno swoją ulubioną zwrotkę, którą i mnie zwykle pocieszał: „nie warto się martwić! wszystko się jeszcze ułoży”. I ułożyło mu się życie w pasmo gorzkich zawodów, na śmierć przedwczesną, bezdomną... I w trumnie dopiero zdjęto mu okulary, które go przez tyle lat myliły!

Ewa zadumała się. Małkowski głaskał pieścizotliwie jej rękę, pragnąc zaś odwrócić myśl od zbyt bolesnego przedmiotu, wskazał pierwsze mrówki sznujące się na ścieżce i dokoła spróchniałego pnia. Oboje z zajęciem i radością śledzili codzienny postęp wiosny. Cieszyły ich złotawe mgiełki, które osnuły się brzozy, zielone smugi pierwszej trawy w wilgotnych zapadlinach łąk, rozpuszczając się liście wierzb, klekot bociana.

— Dziwny był człowiek z papulka — tak go nazywałam — ciągnęła dalej pani Rogońska — pełen wesołości, serdecznej żartobliwości, hojny, towarzyski, przeznaczony zdawało się do zabawy, a tkwiła w nim gorączkowa potrzeba pracy i ta to praca zgubiła go, zgubiła Łużany. Gdyby był próżniaczyl nie mieszkałby dziś w Łużanach Moskal Nasilcew.

Ewa westchnęła.

— A jakże on się gryzł, biedaczysko, po nocach, że gniazdo rodzinne przeszło w ręce rosyjskie... W owej epoce nie wolno było Po-

lakom kupować ziemi... Łużany tedy przepadły na zawsze. I to dobiło papulka. Ojciec mój [mógł] obejść się bez wszystkiego, ale potrzebował złudzeń i właśnie po sprzedaży majątku, siedząc na łaskawym chlebie u brata nie miał już naprawdę czem się ludzi! A jednak jeszcze powtarzał swoim zwyczajem, że wszystko się jeszcze ułoży i nadrabiał miną, żartował ze mną i bawił się... I tylko noce były okropne. Zdarzało się, że nie mogąc usunąć, nie mogąc znaleźć sobie miejsca, chodził po pokoju od wieczora do świtu... Pamiętam echo jego szybkich kroków. Raz także zapłakał... pamiętam. Mielśmy już wyjeżdżać i zabrać sprzęty najcenniejsze, najmiłsze. — Ostatniego niemal dnia wylazły skądś jakieś lichwiarskie weksle, o których ojciec, nieporządny w rachunkach, zapomniał. Wypadło oddać meble, bo pożyczki od bogatego brata ojciec nie przyjąłby za nic, taki był hardy. Sprowadzono antykwariusza, młodego żyda. Widzę go jakby to było dziś. Chodził w kaloszach, palcie i kapeluszu dużemi krokami, z notatnikiem mówił po rosyjsku z ojcem, głosem uprzejmym, przyjacielskim; po żydowsku z wierzycielem bardzo prędko i opryskliwie. Wynikały sprzeczki. Przyjacielski antykwariusz stawał się drapieżnym. Żalowałam każdego sprzętu, który zabierano na wóz. Spakowano dywany, żyrandol, lustra, kanapę, obrazy... Gdy przyszło do mahoniowej szafki, jęłam prosić, zaklinać, tupać nogami, wrzeszczeć, grozić. Wierzyciel śmiał się, antykwariusz pogłaskał mnie po twarzy zimnemi, z lekka spoconemi palcami. Wybiegłam do ogrodu nad staw i tam pod drzewem w trawie, szlochałam. Ojciec nadszedł wkrótce, spróbował pocieszać... „Nie warto martwić się Ewuniu — wszystko się jeszcze ułoży... odkupię” — rzekł lecz drżały mu wargi, łamał się głos i z oczu niepoprawnego optymisty, puściły się łzy... Nie wierzył tym razem własnym słowom, po raz pierwszy nie wierzył! Były to pierwsze i ostatnie łzy papulka!

Jej także, gdy kończyła opowiadanie, trzęsły się usta i drżały słowa. Cudne w załzawieniu oczy patrzyły w gąszcz tak dobrze znanych drzew. Stali we wjazdowej alei Łużańskiej. Małkowski pchnął nową bramę doczepioną do starych mu-

rowanych słupów, ruszyli nieśmiało naprzód. Zdało się Ewie, że znalazła się wśród ruin, czy na cmentarzu, choć wszystko dokoła miało wygląd raczej wesoły. Bogaty urzędnik nie żałował grosza. Odwieczny, mandsardowy dach pomalowano na czerwono, futryny i okienice na jaskrawy kolor zielony, filary sędziwego ganku, przyoblekły się w szafir. Nie oparłaby już o nie czoła jak w dzieciństwie, za nic nie opłotłaby ich ramionami! W środku dziedzińca z wysokiego słupa błyszczała połyskliwa, niby nalana żywym srebrem, ogromna kula szklana, — w jednym ze skrzydeł domu ktoś grał walca i nucił, w ohydnej oszklonej werandzie, dobudowanej od frontu, wrzeszczał i ryczał gramofon, przy kołobieg i huśtawce, których tu dawniej nie było, hałasowało trzech gimnazjalistów. Zgromadzone na święta młode pokolenie Nasilcowych zabawiało się na wszelkie sposoby. Starsza generacja oddawała się pracy. Chuda dama, zapewne sama „prokuratorowa” krzykliwie, po rosyjsku gderała na grzebiące się w inspektach robotnice. Właściciel zaś tłomaczył coś zebrany dokoła niego „istotnie ruskim” katolikom, Białorusinom, którzy stali wszyscy bez czapek.

Ewa pamiętała wszystko: każdy kamień, odzienek i konar, wiedziała, które w jakich dziuplach gnieździły się ptaki, gdzie pierwsze zakwitały fioletki, na jakiej ścieżce w upalne wieczory pełzały ropuchy, pod którym krzewem świeciły robaczki świętojańskie, na jakich wierchołkach po zachodzie słońca siadały stada wron. Ewa wszystko pamiętała i nic nie poznała.

W ulubionych zakątkach przybysze urządzili altany, grędy truskawek, agrestu, kapusty, nasadzili jabłoni, założyli kurnik, otoczony imponującą, wielce kosztowną siatką drucianą. Ewa szła coraz prędzej i w milczeniu. Tylko pod topolą, którą kochała w dzieciństwie jak piastunkę stanęła na chwilę. Mój Boże jeszcze istniały te same na usychających konarach jemioly, i w tem samem miejscu gniazda kawek! Gałęzie były nagie, lecz roilo się Ewie że słyszy szum srebrnych liści, ów pogwar, który co rana budził i każdego wieczora usypiał. Rozumiała dobrotliwą mowę liści, a olbrzymie, opiekuńcze drzewo знаło wszystkie jej myśli, marzenia, sny. I dziś te gałęzie powtarzają cudzoziemcom bolesną historję dworu, tragedję ostatniego dziedzica, krzywdę spłakanej dziewczynki... Ewa pogłaskała pieścizotliwie chropawy

pień olbrzymia i kierowała się dalej wprost ku stawowi, którego wody zawsze były błękitne. Takiemi pamiętała je w tęsknocie swojej. Dziś zarosły do połowy sitowiem, które przywitało przybyszów suchym szelestem, dziś patrzyły mętną falą. — Obłoki nie chciały w płytką toń spoglądać, a niebiosa, odbite w niej miały jesienną posępność i barwę. Czerwona łódka oraz nowiutka, jakby dziś odheblowana budka kąpielowa, przeniesione tu chyba wprost z typowego letniska, do reszty nadawały prastarej, szlacheckiej siedzibie cechę rosyjskiej „daczy”. I tylko lejące się przez stawidło wąska struga bełkotała dawnym plukiem.

I znowu w Ewie wezbrał żal, że obcym ludziom, którzy słuchają wrzeszczącego gramofonu, huśtają się i pływają w czerwonej łodzi, woda gada ukochane jej klechdy.

— Tu znalazł mnie tatuś płacząc! — rzekła cicho i jeszcze przyspieszyła kroku.

„Jeśli tak dalej pójdzie i petersburska protekcja Chabrowskiego nie zawiedzie, odkupię Ci Stuzany, — mawiał ostatnimi czasy dość często przez przebiegłość czy też na serjo Czesław Rogoński. Te

słowa przypominały się teraz Ewie.

Chmurą stroskania zaszło jej czoło i dlatego przyspieszyła kroku. Od bramy raz jeszcze objęła spojrzeniem ukochany dwór, cmentarz przeszłości, w którym brzmiały gramofon, śmiechy, śpiew i muzyka, i znowu szła prędko, coraz prędzej, naprzód — w świat, zalany słońcem, aleją rozkwitłych brzoź, które stały niby pochodnie zapalone na cześć młodości, wiosny i szczęścia jakichś wiecznie młodych i szczęśliwych ludzi.

„Odkupię Ci Łużany” — słyszała obietnicę męża. I nagle zsunęła sobie z palca pierścionek z rubinem, i jedyną rodzinną pamiątkę oddała Małkowskiemu, w bezwiednem pragnieniu złożenia mu ofiary z tego, co było jej najdroższym, — t. j. z przeszłości. Ale posmutniała w owem mgnieniu, pochyliła czoło, patrzyła w ziemię.

Dalszy ciąg nastąpi.



F. Marion Crawford.

Przekład z angielskiego
przez H. J. P.

Rubin Prymadonny.

37

Powieść w dwóch tomach.

— Co oni mówili? — jeżeli wolno spytać, — rzekł Amerykanin.

Lagotheti powtórzył tę krótką rozmowę prawie dosłownie.

— Powiedział, że mu na imię Jurji, zakończył — to znaczy Jerzy po angielsku.

— Och. Więc on jest Jerzy. A jak pan powiadasz było na imię jego zmarłemu bratu?

— Iwan. To znaczy Jan. Zanim się rozstaniemy panie Van Torp, mogę panu powiedzieć, że małżeństwo moje z panną Donne jest zerwane. Raczyła powiadomić mnie o tem, przez Lady Maud. I jeszcze jedno. Jako mężczyzna mężczyźnie, powiem panu pod słowem honoru, że od chwili, gdy uwolniłem Barakę z więzienia obchodziłem się z nią, jak gdyby była moją siostrą i proszę pana byś przeczył wszelkim uwłaczającym plotkom na ten temat.

— Ano — rzekł Amerykanin z wolna — rad jestem, że pan mi to mówisz i w ten sposób. Mogę pana

upewnić, że tu na moim statku rzecz ta będzie wyświetlona należycie i nikt tu sobie na żadne uwagi nie pozwoli.

— Dziękuję panu — odpowiedział Lagotheti.

Uścisnęli sobie ręce z pewną serdecznością, Lagotheti zbiegł ze schodków ze zręcznością majtka, nie trzymając się za sznur i za chwilę siedział już w łodzi.

— Do widzenia! do widzenia panno Barak! życzę pani szczęścia! — zawołał Van Torp powiewając chustką.

Lagotheti przetłumaczył jego słowa Barace, a ona spojrzała na Van Torpa z wdzięcznym uśmiechem, tak, jakgdyby nie powiedziała jej tylko co, że ten dla którego narażała życie, by go znaleźć w dwóch częściach świata zmarł przed czterema miesiącami.

— Takim był jego los — rzekła poważnie, gdy znalazła się sam na sam z Lagothetim na *Erinnie*.

Van Torp wrócił do salonu i zastał Lady Maud z Kralinskim. Lady Maud szła właśnie ku drzwiom z oczyma zaiskrzonymi gniewem.

— Rufusie — rzekła — ten człowiek jest moim mężem, i nalegałbym do niego wróciła. Ale ja nie chcę. Proszę cię byś mnie kazał wysadzić na ląd nim statek podniesie kotwicę. Moje rzeczy są już spakowane.

— Przepraszam cię — odpowiedział pan Van Torp, pakując oba wielkie palce w kieszonki od kamizelki. Zaszła tu pomyłka. Ten człowiek nie jest twoim mężem.

— Och! jest niestety! — zawołała Lady Maud, rozdzierającym głosem.

— Jestem Borys Leven — rzekł Kralinsky tonem nakazującym, podchodząc bliżej i spojrzał na Van Torpa wyzywająco.

— To czemu powiedziałeś pan tej tatarskiej dziewczynie, że ci na imię Jerzy? — zapytał pan Van Torp nieporuszony.

— Nie powiedziałem tego.

— Toś pan widocznie zapomniał. Pan Lagotheti mówi po tatarsku lepiej niż pan. Ale i tak ciekawa rzecz gdzieś się pan tego nauczył. Otóż on powiedział mi, że panu na imię Jerzy.

— Mam dwa imiona Jerzy Borys — odparł Kralinsky z mniejszą już pewnością siebie.

Nie był tchórzem, ale wyraz twarzy pana Van Torpa napełnił go pewnym niepokojem.

— Mój mąż miał tylko jedno imię, Borys — rzekła Lady Maud.

— Bo też nie jest twoim mężem, bo mu na imię Jerzy; a jeżeli mi nie wierzysz, zaraz ci to udowodnię.

Tu pan Van Torp przycisnął guzik elektrycznego dzwonka przy drzwiach i stał, nie ruszając się z miejsca. Za chwilę zjawił się Steward.

— Przysłać mi Stempa — rzekł pan Van Torp po cichu.

— Słucham, proszę pana.

— I prócz tego sześciu majtków.

— Sześciu proszę pana?

— Tak. Tęgich chłopów.

— Słucham, proszę pana.

Steward wyszedł, a pan Van Torp stał wciąż przy zamkniętych drzwiach, zasłaniając je sobą. Ale Kralinsky nie myślał o ucieczce i wyglądał z pozorną obojętnością przez okno.

W niespełną minutę drzwi otwarły się i wszedł Stemp niewzruszony i pełen uszanowania jak zawsze. Za

nim widać było oberbosmana *) olbrzymiego Northumberjanczyka i pięciu młodych majtków w nowiu-
teńskich sweetrach, o jasnych, spokoj-
nych twarzach.

— Stemp!

— Słucham, proszę pana.

— Zabierz tego człowieka, gdzie-
kolwiek stąd i ogol go. Wąsy zostaw
— rzekł pan Van Torp wskazując na
Kralinskiego.

Po raz pierwszy w życiu Stemp
osłupiał. — Kralinsky pozieleniał z
wściekłości.

— Mam mu zgolić brodę, proszę
pana?

— Tak. Wąsy zostaw. Dalej,
chłopcy — dodał — zabierzcie tego
jegomościa i trzymajcie go gdy
Stemp będzie go golił. Zrozumie-
liście?

Oberbosman stał niewzruszony.

Ten człowiek podaje się za ko-
go innego — rzekł pan Van Torp
— tu na moim statku, a ja chcę
zobaczyć, jak wygląda bez brody.
To jest bunt, jeżeli nie posłuchacie
rozkazów.

— O joj! czemu by nie! — od-
powiedział oberbosman wesoło, bo
rozkaz zaczął mu się podobać, sko-
ro był dobry ku temu powód.

Ale zamiast wziąć się do rzeczy
spokojnie olbrzymi Northumberyj-
czyk przebiegł pędem koło pana Van
Torp i rzucił się na Kralinskiego
głową naprzód jak gdyby dawał nur-
ka. Hrabia padł na ziemię, i re-
wolwer, który trzymał w ręku wy-
strzelił w powietrze. Oberbosman spo-
strzegł w porę, jak Kralinsky mie-
rzył do pana Van Torpa. Obdarzo-
ny niepospolitą siłą Rosjanin opierał
się czas jakiś, wierzgając na prawo
i lewo nogami, ale pięciu majtków
obezwładniło go wprędce i wypro-
wadziło z salonu.

— Stemp!

Lokaj chciał iść za więźniem
i był już zupełnie spokojny.

— Słucham, proszę pana.

— Gdyby się bronił i nie dał
się ogolić poderżnij mu gardło.

— Słucham, proszę pana.

Pan Van Torp wyglądał strasz-
nie. Nigdy w życiu nie był tak
wściekły. Odwrócił się i zobaczył,
że Lady Maud przyciska chustkę do
prawej skroni. Kula, przeznaczona
dla niego, drasnęła tą jego naj-
lepszą przyjaciółkę.

— Rufusie! — zawołała Lady
Maud z rozpaczą — Coś ty zrobił!

— To ważniejsze, co on tobie
zrobił — odrzekł Van Torp. — Zdaje
mi się, że cię postrzelił.

— To nic. Bogu dzięki, że to
mnie się dostało. On ciebie brał
na cel.

Wciekłość pana Van Torpa prze-
mieniła się natychmiast w najczul-
szą troskliwość. Obejrzał ranę, któ-
ra była lekką, ale miała pozostawić
bliznę. Cudem prawie kula zadra-
snęła skroń nie naruszywszy tętna
i trochę osmałiła gęste, ciemne
włosy.

Van Torp zadzwonił, posłał po
wodę i oczyszczoną watę i zręcznie
opatrzył ranę, a Lady Maud owią-
zała sobie głowę, swym długim, za-
łożnym welonem. W tej samej
chwili, Stemp ukazał się we drzwiach.

— Już gotowe, proszę pana. Mo-
że pan będzie łaskaw zobaczyć. Nie
zadrasnałem go ani razu, proszę
pana.

— To dobrze.

Van Torp zwrócił się do Lady
Maud.

— Jak się czujesz? Oprzyj się
na mojem ramieniu.

Ale ona odmówiła i posłała
mężnie sama, tak wyprostowana, że
wydawała się znacznie wyższą od
niego, lecz w duszy doznawała ta-
kiego uczucia, jak gdyby szła na
szafot.

W chwilę potem jednak wydała
głośny okrzyk i byłaby upadła, gdy-
by Van Torp nie podtrzymał ją
w porę. On zaś rzekł tylko dwa
wyrazy:

— Ty psie!

Ten człowiek nie był Borysem
Levenem.

Usta, oczy, czoło, włosy, nawet
bujne wąsy były te same, ale dol-
na część twarzy była zupełnie inna,
zwłaszcza mały, cofnięty ku tyłowi
podbródek z widoczną od cięcia pa-
łaszem blizną.

— Wiem kto ty jesteś — rzekł
pan Van Torp spoglądając na nie-
go z powagą. Jesteś bratem Levi
Longlegsa, który zniknął pierwszy.
Pamiętam tę bliznę.

Nieruchomy Kralinsky siedział
mocno przykrępowany do krzesła,
a oberbosman i pięciu majtków stało
dokoła niego, tworząc zachwyconą
publiczność. Kapitan Brown powia-
domiony o tem co zaszło, nie prze-
rywał swych właściwych zajęć, a su-
bordinacja, jaką utrzymywał na stat-
ku była tak wielką, że wszyscy
znajdowali się na swoich stanowis-
kach i statek już był w pełnym
biegu. Oberbosman i jego towarzysze
należeli do dolnego dyżuru i nie
byli używani do startu.

— Puść mnie — rzekł brat Levi
Longlegsa. — Nie uczyniłem ci nic
złego.

— Pozatem, żeś mnie chciał

zabić, a zraniłeś Lady Maud i po-
dawałeś się samozwańczo za jej
zmarłego męża. Nie. Nie puszcze
cię. Oberbosmanie, aresztuj tego czło-
wieka i odstawimy go do Messyny
do angielskiego konsula, wraz ze
wszystkiem, co do niego należy. Do-
pilnuj tego. Niech kto pójdzie i po-
wie kapitanowi.

— Oj, oj, proszę pana.

Oberbosman i majtkowie widzieli
wszystko i słyszeli; zrozumieli że
pan Van Torp miał za sobą słu-
szność i to ich napełniło szacun-
kiem dla niego a w dodatku ten
samozwańczy cudzoziemiec zranił
Anielkę.

Wydawszy te rozporządzenia pan
Van Torp zwrócił się do Lady Ma-
ud, podając jej znów ramię, — któ-
re tym razem przyjęła i wyszli oboje,
zostawiając brata Leviego Longlegsa
przykrępowanego do krzesła i w na-
der opłakanym stanie ducha.

Reszta da się opowiedzieć w
krótkich słowach. Nastąpiło długie
śledztwo, które doprowadziło do
wyświetlenia tajemnicy i zesłania
hrabiego Juryja Levena na Sybir;
był on bowiem bliźniakiem Borysa
Levena. Pokazało się, że było trzech
braci Levenów, i że wszyscy trzej
służyli w tym samym kozackim puł-
ku na Kaukazie, gdzie większość
oficerów uczy się tatarskiego języ-
ka, którym mówią tam wszystkie
plemiona, bez względu na ich na-
rodowościowe różnice.

Borys zachowywał się w wojsku
bez zarzutu, ale dwaj jego bracia,
bliźniak Juryj i najmłodszy Iwan
schwytani na oszukańczej grze w kar-
ty i wypędzeni z pułku wyemigro-
wali do Ameryki. Dopóki wszyscy
trzej nosili brody, jak przeważnie
kozaccy oficerowie byli do siebie
bardzo podobni. Wszyscy też mieli
wytworne upodobania, zwłaszcza
namiętnie lubili muzykę.

Po degradacji braci Borys sam
podał się do dymisji, wszedł do
służby dyplomatycznej, ożenił się
z Lady Maud Foxwell i zginął w Pe-
tersburgu od bomby.

Iwan i Juryj, gdy im się znudzi-
ło hodowanie bydła w Ameryce, ro-
zeszli się każdy w inną stronę.

Iwan był potrosze przyrodnikiem,
i przewyższał braci zdolnościami i
przedsiębiorczością. Przeszedł Chi-
ny, a potem Mongolję w poszuki-
waniu roślin i minerałów i jemu to
Baraka pokazała kopalnię rubinów.
Wówczas wrócił do cywilizacji ze
swemi skarbami i bez żadnych prze-
szkód ze strony władz zamieszkał
w Petersburgu.

Dokończenie nastąpi.

*) Oberbosman, majtek pod którego
dozorem zostają liny, żagle, kotwice i t. p.
(przyp. tłum.)

Projekty Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej.

Sejm nasz dotychczas nie uchwalił, konstytucji. Kiedy rzecz się ta stanie, również niewiadomo. Sejm nasz zabrnął w różne dysputy i dyskusje i sprawa tak zasadnicza dla utrwalenia państwowości naszej, jak konstytucja pozostawiona jest na stronie.

Kancelaria cywilna Naczelnika Państwa, chcąc zapewne przypomnieć pilność i nieodwołalność natychmiastowego zajęcia się tą sprawą, wydała wszystkie projekty w tej materii, które zjawily się bądź z inicjatywy prywatnej, bądź z inicjatywy instytucji lub klubów politycznych i rządu. Wszelkich tych projektów jest jedenaście. Skala demokratyczności tych projektów jest zależna od źródeł, z których wychodzi poszczególny projekt. Mamy więc nawet projekty o znaczeniu już historycznym, jak np. „Projekt Konstytucji Państwa Polskiego, opracowany przez Komisję Sejmowo-Konstytucyjną, powołaną przez Tymczasową Radę Stanu Królestwa Polskiego, a ogłoszony nakładem Rządu Polskiego, w Warszawie 1919 r.”.

Każdy projekt poprzedzony jest w wydawnictwie tem krótkim wstępem, który podaje jego historję i w miarę okoliczności — o ile został ogłoszony wraz z uzasadnieniem — objaśnia pewne jego postulaty. Do łatwiejszego zorientowania się w materiale dodano szczegółowy, wszystkie projekty obejmujący, skorowidz.

Kancelaria Naczelnika Państwa wydawnictwem tym przysłużyła się dobrze sprawie popularyzacji projektów konstytucji. Projekty te bowiem świadczą o ideałach kierowniczych poszczególnych grup politycznych i wskazują, jaką Polskę chcieliby mieć wśród państw europejskich. Przypuszczać należy, że mimo wszystkie zakusy sfer ultraradykalnych i ultrakonserwatywnych. Polska zdobędzie się na konstytucję, godną jej tradycji historycznej.



Czy warto wypełniać przepisy sanitarne?

Żołnierze nie zwracają uwagi na przepisy sanitarne, choć są one przecież wydawane w celu zabezpieczenia ich zdrowotności. Większość nie jest wprawdzie

dostatecznie uświadomiona w tym kierunku, ale nawet i mniejszość, mająca o rzeczy tej pojęcie, brawuruje lub lekceważy sobie elementarne zasady higieny. Nasze oddziały lekarskie niosą pomoc, jak mogą i umieją chorym żołnierzom. Trzeba jednak uprzedzać nawet możliwość zachorowania. W tym celu powinno się przestrzegać słuszne wymagania zdrowotności.

By rzecz tę uświadomić w jaknajszerszych warstwach naszej armji, „Biblioteka Żołnierza Polskiego” wydała interesującą, z talentem napisaną broszurę pt. „Czy warto wypełniać przepisy sanitarne?”. Autorem tej broszury jest dr. Sławoj-Składkowski, podpułkownik-lekarz.

Broszura ta jest owocem bezpośrednich obserwacji. Przemawia językiem obrazowym, żołnierskim, często rubasznym do wyobraźni i świadomości czytającego i trafia odrazu w sedno rzeczy.

Dr. Sławoj - Składkowski przeplata przytem swoje pouczenia zdrowym humorem. Nawet tytuły rozdziałów mają w sobie pogodę. Tytuły te brzmią: „Szczepienia ochronne”, albo „szczypanka”, „Jak Wojtek Kozik Magdę stracił”. „Jak zginął Józek Drzazga?”, oraz „Jak plutonowy Bartłomiej Kaczorek strzelał do „Czerwonego Krzyża”.

W nowelistycznych opowiadaniach dr. Sławoj-Składkowski plastycznie pokazał zbawienność słuchania rad lekarskich i celowość poszanowania przepisów sanitarnych. Przypuszczać należy, że książeczka ta wywrze należyte wrażenie wśród żołnierstwa. Przynosi ona zaszczyt tak autorowi, jak i redakcji „Biblioteki Żołnierza Polskiego”. Jest bowiem, jako typ tego rodzaju broszury, okazowa.

Z dziedziny kosmetyki.

Pelargonji. Siwiejącym włosom najpiękniej przywraca kolor *Orizalina*, nie dając tęczyowych odcieni jak to bywa przy niektórych tynkturach. Jeśli zaś włosy były koloru blond to lepiej użyć *Excelsior* według przepisu dołączanego do flakona. Ciemne włosy chcąc rozjaśnić należy użyć płynu *Hella*. Płyn ten daje piękny odcień złoto-blond lub też jasny-szatyn. Wszelkie inne płyny rozjaśniające na podstawie wody utlenionej są szkodliwe gdyż wy-

szczają zupełnie włosy skruszając je po woli.

E. Samp. w Branicy. Firma *Perfection* Szpitalna 10, kupuje cebulki białej lilji (*Lilium candidum*) ale dopiero po okwitnieniu, to jest w końcu lipca. Cebulki te są używane do wytwarzania kremu *Abarid*, i mogą być większe lub mniejsze, a nawet w kawałkach i luskach, gdyż natychmiast po dostawieniu muszą być mielone, wyciskane, mieszane z miodem, zalewane spirytusem i przechowane w hermetycznym zamknięciu aż do chwili użycia na krem. Dlatego też całość cebulek jest zbyt duża. Dostawiać można w workach, płacą od puda.

Otylej. Przeciw otyłości pić na czczo zaparzane *Ziola paraguayskie*, a miejsca zbyt wydatne masować kremem *Unique*. Najlepiej stosować to w lecie, gdyż nie trzeba się obawiać zaziębienia podczas masażu. Puder *abaridowy* wyrabia firma: „*Perfection*” Szpitalna 10.

M-e Ercèdes.

S-té Institut de Beauté w Warszawie, Chmielna 2, tel. 247-39. Gabinety kosmetyczne. Racjonalne zabiegi kosmetyczne, prowadzone przez specjalistki pod kierownictwem lekarzy. Leczenie włosów. Usuwanie z włosów farby. Dział koloryzacji i farbowania włosów, prowadzony przez chemików specjalistów. Przyjęcie od godz. 10-e do 7-ej po poł. oprócz świąt. 10992



NAJLEPSZY
lakier do paznogi
„ECLAT”
PERFUMERIE LAUTRIN.
11097

ROBOTY RĘCZNE
2 ZESZYTY
CENA MK. 6.

TABROMIK

113



BÓL GŁOWY; MIGRENE
RADYKALNIE USUWA PŁOCKI
MIGRENO-NERVOSIN
Z KOGUTEM
ORYGINALNY ZAWSZE BEZ OPŁATKÓW

PRENUMERATA

w Warszawie i na prowincji wynosi rocznie 480 marek, kwartalnie 120 marek, miesięcznie 40 marek. — Za zmianę adresu i markę.

OGŁOSZENIA: wiersz nonparelowy lub Jego miejsce na I-ej str. przy tekście 15 marek, w tekście i nadesłane 18 marek. Okładki na I-szej str. 10 marek, na II-ej i III-ej 6 marek, na IV-ej 5 marek. Marginesy: na I-ej str. okł. 125 marek, na II-ej i III-ej okł. 75 marek, na IV-ej okł. 100 marek, w tekście i przy nadesłanych 150 marek. Przed romansem Mk. 8.—, za romansem Mk. 6. Artykuły reklamowe 2500 marek za stronę. Załączniki 100 marek od tyśiąca.

Adres Redakcji i Administracji:

WARSZAWA, SZPITALNA 12. Tel. 47-25.

FILJA W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłoszeń „*PROMIEŃ*”, Piotrkowska Nr 81.

Przedstaw. w Ameryce: Pierwsze Polskie Biuro Dzienników Polish News Agency 26, Newark Ave., Jersey City, N. J.